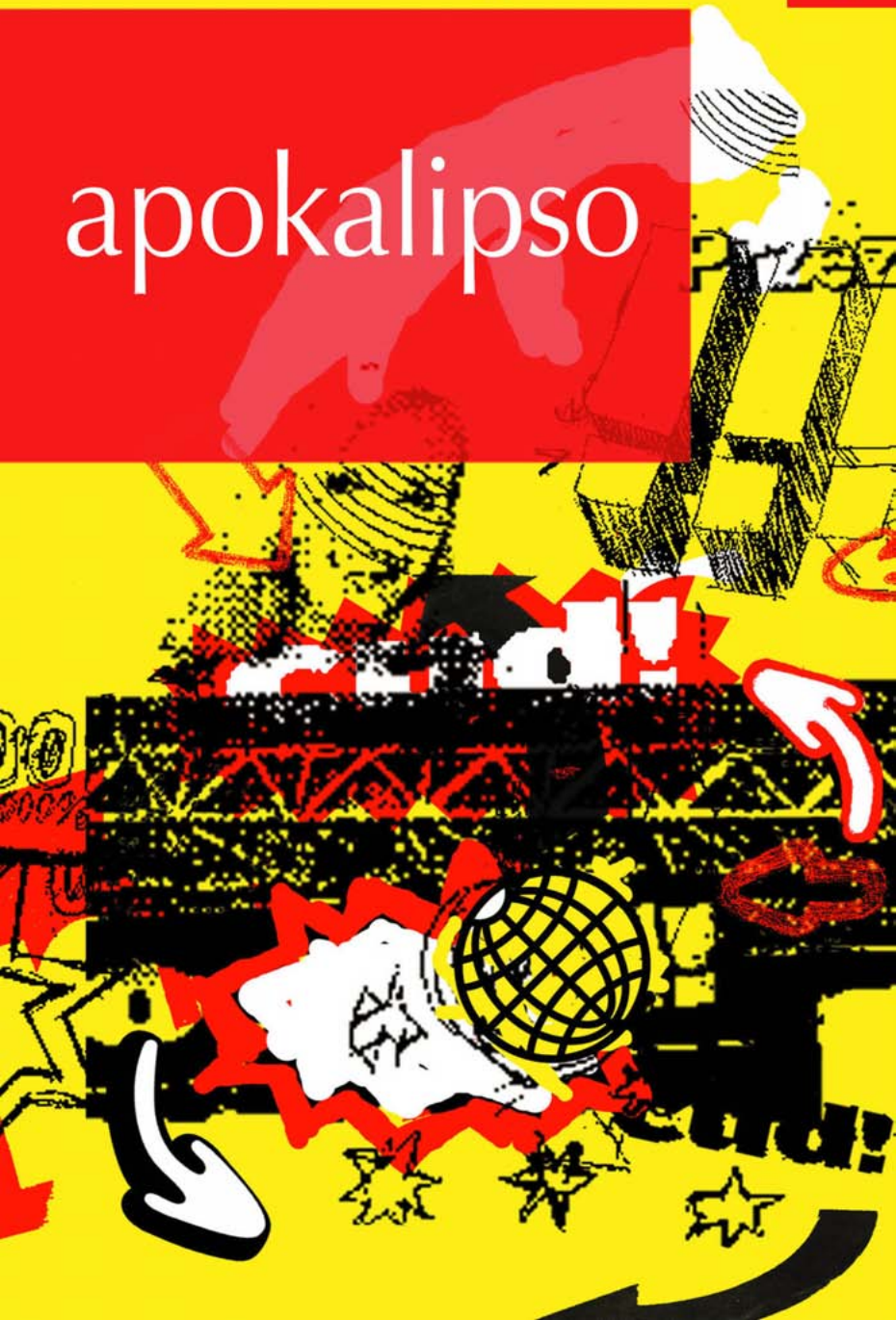


Max Cegielski



apokalipso





w serii ukazały się:

Artur Baniewicz *Góra Trzech Szkieletów*

Artur Baniewicz *Drzymalski przeciw Rzeczpospolitej*

Anna Bojarska *List otwarty do królowej Wiktorii*

Anna Bojarska *Ja*

Marek Bukowski *Wysłannik szatana*

Max Cegielski *Apokalipso*

Andrzej Horubała *Farciarz*

Witold Horwath *Seans*

Grażyna Jagielska *Korespondent*

Krystyna Kofta *Krótką historią Iwony Tramp*

Marek Ławrynowicz *Kino „Szpak”*

Marek Ławrynowicz *Pogoda dla wszystkich*

Gabriel Meretik *Kryptonim „Luksemburg”*

Tomasz Mirkowicz *Pielgrzymka do Ziemi Świętej Egiptu*

Joanna Rudniańska *Miejsca*

Hanna Samson *Pułapka na motyla*

Małgorzata Saramonowicz *Siostra*

Małgorzata Saramonowicz *Lustra*

Jerzy Sosnowski *Apokryf Agłai*

Jerzy Sosnowski *Linia nocna*

Marcin Wolski *Alterland*

Mariusz Ziomecki *Lato nieśmiertelnych*

M a x C e g i e l s k i

apokalipso

- Proszę wyłączyć komórki. I zamknąć drzwi! Mamy tu, proszę państwa, klimatyzację! – ksiądz pochwalił się jakością usług i rozpoczął w końcu ceremonię. W szumiącym chłodzie małego kościoła środowisk twórczych, pseudoświątyni dla słabo praktykujących. Mistrz ceremonii prowadził show dla zagubionych owieczek, dla grzeszników. Dla tych, co zboczyli ze ścieżki, gdyż uznali, że jej zakręty prowadzą na manowce. Dla tych, co szukając prawdy, znaleźli się na środku pustyni. Dla tych, co odrzucili oficjalną wersję objawienia, a jednak dziś są gotowi na chwilę schylić czoło przed krzyżem. Choćby po to, by zachować pozory, odegrać wzruszającą scenę pojednania z Kościołem. Czy bluźniąc w głębi duszy, patrzyli zarazem z nadzieją na Pana Księdza? Czy cynicznie chcieliby się nawrócić, czując, że życie stałoby się wtedy lżejsze?

Juliusz miał zejściowe myśłówki i nerwowo rozglądał się po sali. Niezła zbieranina. Panu młodemu dredy sięgną za chwilę pasa, do garnituru założył

adidas. Dobrze, że zrezygnował z T-shirtu Inkwizycji, hardcorowej kapeli, która śpiewała o „bestii watykańskiej”. Najpoważniej prezentowała się panna młoda, urocza brunetka. Niepewnym uśmiechem dodawała księdzu otuchy. Patrząc na nią, można odzyskać nadzieję, że impreza ma sens. Byli tu przecież tak naprawdę dla świętego spokoju. Zorganizowali to, żeby rodzice się wreszcie odpięrdolili. No i lepszy cyrk kościelny niż farsa w urzędzie stanu cywilnego. Błogosławieństwo urzędnika rzymskokatolickiego solidniejsze od potwierdzenia wspólnoty podatkowej. Alex stał przed księdzem i usiłował się uśmiechać, kościelny ślub traktował przede wszystkim jako symbol normalności. Niemiłej, ale koniecznej. Tylko dzięki takim frajerom statystyki mówią, że to katolicki kraj. Alek wymyślił, że nawet dredmen po ślubie przestaje być frikiem. Staje się poważnym człowiekiem. A on chciał sobie udowodnić, że nie jest już młodym obrzępalcem.

Julek, jego brat i świadek, czekał, aż ślub się wreszcie skończy. Miał wrażenie, że czyta jakiś reportaż albo ogląda telenowelę. Nie był pewien, czy życie aż tak dobrze naśladuje telewizję, czy też *Dynastia* była dziełem epokowym, prawdziwym do bólu, do krwi spływającej spod wieczorowego makiżaju. Niby wszystko działa się naprawdę, ale jego obsesyjne poczucie sztuczności dziś szczytowało. Oglądał się niespokojnie przez ramię – nic nie znikało, lecz fortel mógł być bardzo profesjonalny.

Goście przestali w końcu szurać i szeptać, większość rozglądała się wokół z zainteresowaniem. Zнали już meczety, znali nawet tybetańskie klasztory i hinduistyczne ołtarze; chrześcijaństwo z zasady ich nie kręciło. No, może trochę prawosławne, bo Grabarka jest fajna. Pierwszy raz kwiat warszawskiej młodzieży stłoczył się tak tłumnie w katolskim kościele. Prasa odnotowała narodziny nowego trendu.

Ksiądz mówił krótko, pojednawczo, tak, żeby dotrzeć do tego stada pogubionych owieczek. Namawiał, aby para młoda każdego dnia kochała się bardziej, a nie mniej. Julek tylko tyle zapamiętał z tego całego wywodu, no, jak to się nazywa, kazania. Zmęczenie wzięło górę nad paranoją; przysypiał. Alex zaś postanowił, że teraz będzie już tylko sobą, będzie poważnym człowiekiem. Odtąd żadnych kompromisów, nie ma litości dla skurwysynów.

1

Mundian to bach ke – strzeż się chłopaków.
Panjabi Mc

Nie wiadomo nawet, od kiedy snuła się ta historia. Może po prostu wtedy, kiedy byli u rodziców i Alexander spoglądał w promienie słońca. Pająk

tkał się między poręczą tarasu a drzewkiem, które zwieszało nad nim gałęzie. Gotów był się założyć, że w pajęczynie widzi ostatnie podrygi trzech much. A może było ich więcej? Nie dostrzegął przecież całej sieci, ginęła mu w świetle. Leżał na kanapie i przez ledwo rozchylone powieki wpuszczał tylko tyle słońca, żeby zamigotało w głowie. Ojciec się starzeje – pozwala, żeby tak zarosło. Alex wtulił się jeszcze bardziej w poduszkę. Wszyscy grzybiemy, skoro tu jesteśmy. To niedobrze, albo może to właśnie jest normalność? Tarasowa, sobotnia, wczesnopołudniowa, leniwa i słoneczna. Chwytał resztki jasnych plam i uciekającego snu. Niestety, słyszał już z daleka, że zbliża się obiad. – Zosiu, moja droga, weź tę sałatkę i sztucce i potem wróć jeszcze po przyprawę. Moi złoci, Juliusz, ojciec, chodźcie wreszcie do nas, przestańcie tam gadać. I przyprowadźcie babcię po drodze! Alexander! Wstawaj, ty leniu! – Matka nigdy nie zdrabnia naszych imion i usiłuje komenderować obiadem jak łodzią podwodną. Skojarzyło mu się, bo przed drzemką na tarasie widział premiera otwierającego Dni Morza. Wiedziałbym, jak żyć, gdybym służył w marynarce. Powinni se hasło wyborcze takie zrobić.

Matka z Sofią hałasowały talerzami i sztuczkami, słyszał rytualne rytmy rodzinnego posiłku. Usiadł

na brzegu kanapy i przetarł oczy. Słoneczne ziele-
nie przeszły nagle w czarną bluzkę Zofii-Sofii, któ-
ra stanęła obok. – Piękna para, prawda? – Ojciec
z zadowoloną miną mościł kościste ciało w fotelu
i mówił do teściowej; głośno, żeby słyszała. Spro-
wadzona na taras matka rodu uśmiechała się do
Zosi tak, jakby pierwszy raz ją widziała. Babcia spy-
tała: – To macie już dzieci? – Dziewczyna zarumie-
niła się i prawie krzyżąc, odpowiedziała: – Jeszcze
nie! – Babcia spojrzała na nią zdziwiona. Trudno
powiedzieć, czy dlatego że Zosia krzyczy, czy że
nie ma jeszcze dzieci. Juliusz miał wrażenie, że Bab-
ka krzyku nie dosłyszała. Może nie zależało jej na
odpowiedzi, może nie słuchała już nikogo. Sam po-
czuł się nagle zobowiązany do zabawiania jej kon-
wersacją, w końcu tak rzadko ją widywali. A coś
przecież byli jej winni. Nie wiedział tylko, o czym
mówić. Na wszelki wypadek zaczął od wykrzycze-
nia pytania o zdrowie. – A dobrze, dziękuję – mat-
ka jego Matki znowu zdziwiła się i powróciła do
poprzedniego wątku: – Zanim umrę, chciałabym
wiedzieć, że macie dzieci. Kochani moi, pamię-
tajcie, że babcia zawsze was kocha. – Juliusz, który
siedział najbliżej, zdobył się na pogłaskanie jej
po rękę.

Tymczasem Matka, która na starość zamieniała
się w przeciwieństwo małżonka, z trudem prze-
ciskała ciężkie kilogramy przez drzwi. Odgrywała

dostojną matronę, wносиła michy z chłodnikiem. Ojciec wiązał serwetę pod wystającą grdyką i chciał grać patriarchę rodu, ale bez siwej brody przychodziło mu to z trudem. Sofia zagryzła usta i usiadła wreszcie, grzecznie krzyżując długie nogi. Jak zwykle usiłowała robić dobre wrażenie. Alex spytał grzecznie, czy nie mógłby jeść na kanapie. Naprawdę nie miał siły wstać, ale Matka spojrzała z takim wyrzutem, że ciężko przerzucił się na krzesło. Na widok chłodnika uświadomił sobie, że jest głodny, i zabrał się do jedzenia. – A co z tobą, Julek? – Ojciec przemówił, zawieszając łyżkę w powietrzu. – Coś tam, jak wy to mówicie, kręcisz nowego? – Julek nie odpowiadał, nerwowo rozdrabniał jajko w zupie. Matka pogłaskała synka po głowie grubymi palcami, aż się wzdrygnął. – Juliusz pracuje, prawda? – przeszła na ten swój lukierkowaty ton, od którego braci zawsze mdliło. Kiwnął głową, zaczął mówić, chciał coś wytłumaczyć, może nawet powiedzieć prawdę, ale Matka machnęła ręką. Znowu musiał sobie uświadomić, że jego była żona i najwyraźniej była córka zostali w domu rodziców skreśleni, już tu nie istnieli. Babcia chyba nawet nigdy się o nich nie dowiedziała. Rodzice długo nie mogli się zdecydować, czy jej mówić, a potem nie było już o czym. Tymczasem Alex wcinał na całego, zawsze głodny, zawsze chudy, spalający wszystko na bieżąco. Julek sam zaczął w końcu

jeść, chłódnik nawet jakoś wchodził, ale już bał się drugiego dania. – Ja nie mam nic przeciwko dzieciom... – Alexander wrócił do poprzedniej kwestii, mówił z pełnymi ustami, urwał. Sofia spuściła oczy. Wyglądała jak panienka z dobrego domu, pasowała do obiadu rodzinnego lepiej od swojego męża, który tymczasem zamilkł i wcinał dalej. Julek zaś usiłował zmienić temat: – Prawda, mamo, ładnie jej w tym naszyjniku? – zapytał głośno. Alexander spojrział zdziwiony, rzeczywiście, żona miała coś afrykańskiego na szyi. Chciał coś powiedzieć, ale Matka zatrajkotała go: – To teraz bardzo modny styl, prawda... – tłumaczyła zjawisko „powrotu do korzeni”, „fascynacji egzotyką”, mówiła coś o „utraconej prostocie”. Juliusz widział artykuł pod takimi właśnie hasłami w piśmie kobiecym, które przejrzał, kiedy pomagał matce w kuchni. Właściwie kiedy próbował spokojnie tam siedzieć i słuchać matczynych wywodów o sąsiadach. Teraz minęło parę minut, zanim ucichła i odeszła po drugie danie. Ojciec skorzystał z sytuacji i zaczął powtarzać to samo, wspominając swoje autostrady w szyickich, ropośnych piaskach Iraku. Alex jadł dokładkę. Julek odruchowo dotknął brzucha. Trochę przytył ostatnio. Babcia spytała wnuczka, jak tam w pracy, i nie słuchając odpowiedzi, zaczęła opowiadać treść wspomnień, które właśnie czytała. Telefon brata się

rozdzwonił. Al odstawił michę, odebrał i nie wstając od stołu, wdał się w rozmowę o interesach. Babcia nie słyszała ani dzwonka telefonu, ani gadania Alexa, więc mówiła dalej do Juliusza, którego zaczynała boleć głowa. Tym bardziej że dzielnie przytakiwał Babci i od własnych krzyków bolały go uszy. Nikt nie był w stanie przekonać seniorki rodu do aparatu słuchowego. Sobotni spektakl toczył się jak zwykle. Nagle Matka pojawiła się nad ich głowami i zabrała się do kręcenia afery: – Co za rodzina?! Biuro tu robicie?!... – nie dokończyła, Alex zrobił śmiertelnie obrażoną minę i zasłaniając telefon, szepnął groźnie: – Przestań! – Uciekł potem do środka domu, a kiedy wrócił, zalał Matkę pretensjami: – Umawiam akcje, ważny moment dla kapeli, a ty awanturę robisz, jak ja mam sprawy załatwiać, jest sobota, w mieście jeszcze wszyscy pracują, a ty świrujesz... trzeba było robić takie obiady dwadzieścia lat temu, a teraz to wiesz... Matka, wyluzuj... proszę cię. – Chciał coś jeszcze dodać, ale atmosfera za stołem zlodowaciała, więc zamilkł. Alex tak naprawdę nie lubił otwierać starych szaf, nawet jeśli nie wypadały z nich trupy, po prostu zagalopował się. Ojciec milczał, patrząc w stół, Matka była gotowa płakać, Sofia uśmiechała się dziwnie i tylko Julek zachowywał spokój, próbował rozsiać peace and love dokoła siebie. Babcia dopiero teraz przestała opowiadać mu jakąś książkę i rozglądała się

zdezorientowana. Alek, wkurwiony na innych, bo przecież nie na samego siebie, zasiadł z powrotem za stołem i zmienił temat, zaczął mówić o pracy. Jedząc drugie danie, perorował o płycie, którą właśnie nagrał, i kontrakcie w Londynie, który kroi się dla jego dubowego składu. Juliusz tłumaczył matce kolejny raz, co to raggamuffin, dub i sound-systemy. Był dumny z muzycznej działalności brata. Od siebie dodał, że Prophets from the East wygrali największy sound-clash w Polsce, detronizując ostatecznie dresiarza Filemona i obrzępalców ze składu Brudne Włosy. Matka z trudem usiłowała się w tym połapać, Ojciec co chwila przerywał, chciał udo wodnić, że na scenie klubowej też się zna. Matka w końcu zrezygnowała i poszła po desery, jej mążzonek przejął prowadzenie i rozsunął przed słuchaczami przemówienie porównujące rewoltę rokendrolową z przemianami ery elektronicznej. Napięcie zostało schowane pod stół albo wzięło z powrotem w domowników. Lepiej rozmawiać o muzyce niż rozdrapywać stare rany. Jul przełożył swoje drugie danie na talerz brata, ten, nic nie mówiąc, jadł dalej. Ojciec zdążył już zapalić cygaro. Zanim je dopali, będzie jeszcze kawa i likier, na który Julek miał dużo większą ochotę niż na ten ohydny makaron. Kac strasznie męczył. Dwa kieliszki wina do obiadu to stanowczo za mało. Alex wreszcie skończył dokładkę i rozwalił się wygodnie w fotelu. Beknął, aż Sofia

podskoczyła i wreszcie coś powiedziała: – Proszę cię – nie strofowała, tylko prosiła, najwyraźniej zniesmaczona. Ojciec skorzystał z okazji do kolejnego wykładu, tym razem o bekaniu w Azji Środkowej, a Alexander potakiwał i mówił: – No i widzisz? A ty jesteś taka drobnomieszczańska! – Sofia prychnęła i nadała się. Uznała, że nie warto gadać. Przemówienia były ulubioną formą wypowiedzi Pana Dyrektora. Julek przez chwilę słuchał, ale w końcu grzecznie przeprosił i wstał. W głowie mu wirowało, wziął głęboki oddech i ruszył do wnętrza domu, jak zwykle wpadając na rozstawione wszędzie pamiątki i gadżety. Willa, zbudowana jeszcze przez dziadków, przeżyła jakiś czas temu zewnętrzzną metamorfozę. Dostosowała się do panującej w okolicy mody na wielkie żeliwne bramy wjazdowe, brukowane podjazdy i lśniące dachy. W środku była jednak muzealną rupieciarnią. Dożytkowe wieńce, które dostawał jeszcze Dziadek, wymieszane z zabytkami zbieranymi przez Ojca, kiedy asfaltował Bliski Wschód. Do tego kicz, który Matka przywoziła z delegacji i urlopów na całym świecie. Przechodząc koło kuchni, Julek kurtuazyjnie spytał, czy w czymś pomóc. Spytał tylko dlatego, że natknął się na Sofię niosącą puste talerze. Ulubiona, bo właściwie jedyna synowa Mamy pomoże za niego i za brata. Uśmiechnął się do niej i patrząc w wielkie oczy bratowej, pomyślał, że nie

wiadomo, jakiego są właściwie koloru. Z pierwszego schodka spojrzął jeszcze raz. Dziewczyna, zamysłona, spinała teraz długie czarne włosy. Potem popędził już na górę do ubikacji, jak zwykle oglądając ze zgrozą obrazy wiszące po drodze. Od mutacji Kossaków wymieszanych z kaligrafiami arabskimi zrobiło mu się jeszcze gorzej. Mało nie potknął się o gruby biały dywan, który pokrywał korytarz na piętrze. Szybko złapał za mosiężną barokową klamkę i puścił pawia zaraz po podniesieniu rzeźbionej drewnianej deski. Po chwili odechnął i zamknął drzwi na klucz od środka, już bezpieczny. Otworzył okienko wychodzące na las za domem i natychmiast je zamknął. Stare przyzwyczajenia się odzywają, dobrze, że mam to za sobą – pomyślał. Usiadł na kiblu. Właściwie mógłbym dać spokój, to tylko resztki z balangi, przeżyję bez nich. Ale po co mają się marnować? Monologował tak samo od lat. W końcu wyciągnął torebkę z resztkami proszku i wciągnął je wprost z błyszczącej czystością deski klozetowej. Powiedział półgłosem, z kolejnym silnym postanowieniem: – I taki to był ten ostatni raz. Amen! – Wyszedł, zostawiając drzwi otwarte na oścież, znowu z przyzwyczajenia, żeby wywietrzyć. Natychmiast wrócił i zamknął się z powrotem. Po schodach szedł właśnie Alex, a za nim biegła Sofia. Julek, skulony na kiblu, domyślał się, że jego brachol siada teraz i zaczyna skręcać

poobiedniego dżointa. Czuł, że musi chwilę odsapnąć, zanim wyjdzie stawić czoło jemu i dziewczynie. Gorycz proszku spływała z nosa do gardła. Usprawiedliwiał się, że trudno znieść na trzeźwo te rodzinne nasiadówki. Rozumiał też Alka, który właśnie mówił do żony: – Kochanie, usiądź, wyluzuj, wiesz przecież, za chwilę mam ostateczny mastering. Przez tydzień nie paliłem, ze względu na ciebie, teraz tylko taki mały buszek, no, nie gniewaj się, widzisz, jak mało, masz sztacha... Jak ten materiał trafi do Londynu, to śmigamy, kochanie, razem na Jamajkę, czaisz... My we dwoje pod palmami, muszę się tylko dziś sprężyć, przecież wiesz, że robię to dla nas, mnie tam na karierze nie zależy... – Sofia dała się najwyraźniej udobruchać, bo milczała. Kiedy Julek wreszcie zdecydował się wychynać z kibla, siedziała obok Alexa palącego dżoincika i przeglądała jakieś czasopismo. – Co, młody, trzewia nie te co dawniej? Jakbyś tyle nie pił i nie wciągał, tobyś lepiej żył, men! Chociaż kumam, zapiekany makaron był wyjątkowo niedobry – brat zakończył nutką przyjacielską i wyrozumiałą. Od tej jego dobroci Julkowi znowu zachciało się rzygać, uznał, że dobry braciszek karci go za grzeszki, które tak naprawdę usprawiedliwiają jego własne akcje. – Masz, złap macha – zaproponował Alexander Wielki, rozparty na skórzanej kanapie rodziców, zadowolony. – Ja przynajmniej nie udaję, że nie

draguję – odciął się młodszy i zbiegł po schodach. Przypomnił sobie, jak brat odwiedził go ostatniej nocy kompletnie usprawiany, żeby się odświeżyć przed trudnym powrotem do domu i żony.

Juliusz zasiadł z powrotem na tarasie i pełen białej energii usiłował budować od nowa miłą nastrój. Spytał mamę: – A jak tam w pracy? – Był dzielny i wytrzymał plotki o sytuacji w polskiej telewizji. Pani Matka opowiadała, że według korytarzowej opinii prezes z rośliną w nazwisku wraz z autorytetem, co ma sprzęt AGD w nazwisku, są zamieszani w tę tajemniczą aferę pedofilską. Juliusz słuchał i czuł, że proszak znowu wraca mu do gardła. Nie był pewien, czy chciało mu się znowu rzygać z powodu plotek czy narkotyków. Babcia obudziła się nagle i spytała, czy prezes z tych z Galicji, czy z Kongresówki? Nikt oczywiście nie wiedział, więc zaczęła opowieść o wszystkich z rośliną w nazwisku, których znała. Juliusz po raz kolejny patrzył na nią zdumiony. Dla niego i brata liczyła się tylko przyszłość, dla rodziców właściwie też, ponieważ mimo swojego wieku wciąż wierzyli, że będzie lepsza od przeszłości. A dla Babci ważna była już tylko historia, tylko przeszłość pobudzała ją do myślenia i mówienia, tylko ona wywoływała w niej emocje, aktywizowała coraz częściej wyłączający się mózg. Pokolenia przedzierała wyrwa terażniejszości, którą nikt nie raczył się interesować. Przeskakiwali ją

w pośpiechu i pędzili naprzód, nic a nic nie rozumiejąc, jak najmniej myśląc i czując, ścigali jutro. Nie brali oddechu, nie przystawali, gnani wydarzeniami, bali się wyciągać wnioski, dusili się, każdy własnym wyobrażeniem życia.

Ojciec spał w fotelu, matka sprzątała, a Julek udawał, że słucha Babci, i przyglądał się, jak braciszek na górze wietrzy pokój po swoich poobiednich buchach. W końcu, kiedy już naprawdę zaczął wymiękać, usłyszał z góry zdenerwowanego Alka: – Basta, spadamy, jestem już spóźniony. – Ewakuowali się, jak zwykle pozostawiając rodzinę w błogiej dumie ze wspaniałych potomków wraz z przyległościami.

Zaraz po wyjeździe z bramy Julek wpadł do wielkiej dziury w piaskowej drodze. – Każdy ma willę z basenem, co chwila wozy agencji ochroniarskich, a, kurwa, asfaltu nie mogą położyć? – W ostatnich latach podmiejskie daczowisko komunistycznych plotek urosło do rangi salonu pokazowego nowego gustu. Dom rodziców był najskromniejszy w okolicy, tuż za nim wyrastały kopie pałacików z amerykańskich plantacji bawełny, angielskich rezydencji i inne historyczne kombinacje, zwane gargamelami. Teraz, w sobotę wieczór, większość stała pusta. Alex wygłosił mały lewicowy wykład o zasranej warstwie średniej, „no, tej wyższej średniej”, która nawet nie ma czasu pomiesz-

kać w swoich domach, bo musi odpracowywać kredyty. Julek pokiwał głową i wskazał palcem naklejkę na tablicy rozdzielczej swojego dziesięcioletniego volviaka, naklejkę, którą dostał od brata. Na pierwszym obrazku facet w samochodowym korku narzekał, że spóźni się do pracy. Na drugim ten sam facet w biurze narzekał na pracę, którą musi wykonywać, żeby spłacić samochód. – No właśnie, babilońska głupota – skwitował Alex. Tylko Sofia, która zawsze dokładnie oglądała te nowe domy, zaczęła bronić lokatorów: – Dajcie spokój tym ludziom, nie każdy ma bogatych rodziców jak wy. Przyjeżdżają z prowincji i chcą się dorobić. To przecież normalne. – Bracia spojrzeli po sobie i pogardliwie wzruszyli ramionami. Alex spytał brata: – A ty po chuj tyle pracujesz? Nawet willi i wózka porządnego nie masz. – Pracuję, żeby nie myśleć – odpowiedział Julek. To stwierdzenie, nigdy wcześniej w myślach nieformułowane, zabrzmiało bardzo prawdziwie. Dodał na wszelki wypadek: – Ale tak naprawdę to ja nie pracuję. Reklama to hobby, za które dostaję jeszcze kasę. – Tratatata – nie uwierzył mu brat, zresztą słusznie. – Pracujesz tyle, żeby nie klócić się ze starymi, żeby nie brać od nich kasy, bo nie lubisz ich jeszcze bardziej ode mnie. Ja też jestem niezależny i przynajmniej gadam, co chcę, a ty jesteś tchórz! Masz kasę, ale jesteś niewolnikiem! Wiesz,

gdzie jest twój Babilon? O tu! – i wymownie postukał się w głowę. – Obydwaj jesteście siebie warci! – mruknęła Sofia z tylnego siedzenia. Bracia prychnęli i spojrzeli po sobie wymownie, nagle zjednoczeni.

Dalej nawijał tylko Alex, odsłuchując wstępne wersje kawalków, które Sofia i Julek słyszeli już tysiąc razy, były fajne, ale nie podniecali się nimi tak jak autor. Stanęli pod studium, gdzie nagrywali Prophets. Tutaj starszy brat zwany był Alem albo Alim, co mogło wydawać się już przesadą, ale pasowało do nazwy zespołu. Wysiadł z wozu, zdjął z dachu swój bocykl, zapewnił Sofię, że przed dwunastą będzie z powrotem, i poszedł do swojej paczki. Plakat „Lato w mieście” obiecywał wspaniałe wakacje dzieciom, które zajęci rodzice pozostawiali z kluczem na szyi. Zaułki otwierały kusząco swoje zakamarki, w powietrzu czuło się nigdy niespełniane obietnice. Juliuszowi stolica kojarzyła się z kurwą rozkładającą nogi przed klientem. – Miasto złodziei. Coraz więcej jubilerów, coraz więcej hochsztaplerów – mruknął, powtarzając słowa Proroków ze Wschodu.

Zerknął na siedzącą z tyłu Sofię. Chyba schodziły z niego te ostatnie kreski. – Zawieźć cię do was? – spytał. Skinęła głową i gapiała się dalej przez okno.

W końcu spytała: – O co ci chodziło z tym tam, na końcu, że ty nie oszukujesz, z narkotykami niby? – Julek zdrętwiał i wytłumaczył nieskładnie, że to taki żart, ale chyba nie przekonał dziewczyny.

Światła jego ukochanej, wielkowiejskiej, zachodnio-wschodniej dziwki Warszawy wydały mu się zimne jak w szpitalnym korytarzu. Albo jak na zdjęciach tych awangardowych fotografów, z którymi musiał toczyć boje w agencji. Warszawa przyciągała i odpychała, nadawała sprzeczne komunikaty, które plątały się w głowie Juliusza. Pełna profeska – myślał o swym rodzinnym mieście. Nigdy dosyć, nigdy za mało, zawsze tak, żeby nie przysnąć i chcieć więcej. – Nie moja wina, że to takie pretensjonalne miasto – wytłumaczył się sam przed sobą i zaparkował pod domem Alexa i Zosi. Spojrzał na nią. Zamyślona, wciąż patrzyła w okno. – Pojebane miasto, co nie? – uśmiechnął się. – Tylko takie jak jego mieszkańcy – odpowiedziała bez cienia ironii. Pożegnała się i wysiadła. Patrzył, jak odchodzi, pożałował nagle, że nie porozmawiali dłużej.